

Andrzej Skrendo

Zamiast odpowiedzi

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 1/2 (121-122),
149-152

2010

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Andrzej SKRENDO

Zamiast odpowiedzi

1. Skoro mam mówić osobiście, to zacznę od wyznania: moją pierwszą reakcją na pytania Redakcji była chęć ucieczki. Najpierw pomyślałem, że ucieknę w opowieść *quasi*-autobiograficzną. Jej bohaterem miał być mniej więcej jedenastoletni chłopiec, który lubił czytać wiersze. Przepisywał je więc z książek wypożyczanych w bibliotece (w domu biblioteki nie było), gromadził w grubych zeszytach (zebrał około 30), robił nawet – z tego, co już przepisał – tematyczne „wybory poezji”. W pewnym momencie sam zaczął pisać wiersze (na szczęście – dla literatury – potem przestał). Opowieść miała zawierać m.in. scenę z lekcji polskiego w klasie, powiedzmy siódmej, podczas której jego nauczycielka w pewnym momencie niespodziewanie złapała się za lewą pierś i zadała dramatyczne pytanie, czym czyta się wiersze. W stanie ogólnej konsternacji zabrzmiał tylko jeden cichy głos, jego głos – że sercem. Ale on o tym wiedział już wcześniej, posądzał przecież Miłosza (pierwsze dwie książki w jego zbiorze, to był rok 1984), że nie ma serca i że używa poezji nie do tego, żeby opowiadać o swoich emocjach, ale żeby je krępować; a jednocześnie znajdował pokłady liryzmu w suchych na pozór wierszach Różewicza (cały 96-stronicowy zeszyt). Czytał zresztą zachłannie (w jakiś dziwny sposób odczuwając na języku smaki i widząc kolory) i czytał, prawdę mówiąc, wszystko, a raczej – cokolwiek. Zarówno przysłany przez dziadków z zagranicy album z przemówieniami papieża wygłoszonymi podczas pierwszej pielgrzymki do kraju, jak i wspomnienia o Leninie Łunaczarskiego kupione przez matkę w kiosku. Najdłuższe przemówienie, zdaje się do ludzi kultury na Jasnej Górze, przepisał i wygłaszał podczas mszy, które odprawiał (winem była oranżada, uczestnikiem młodsza siostra). Z Łunaczarskiego zapamiętała na długo, dlaczego według Lenina Tołstoj był pisarzem obiektywnie postępowym, choć subiektywnie reakcyjnym. Miał też zamiłowanie do obcych słów. Przeczytał więc słownik wyrazów obcych (osobny

Wyznania

zeszyt), a w jednym z wypracowań dowodził, że sienkiewiczowski latarnik darzył Rosjan awersją, abominacją i idiosynkrazją. Skończyło się na tym, że nauczycielka polskiego wypisała na osobnej kartce wszystkie dziwnie brzmiące słowa a on, zamknięty sam w klasie, musiał je wyjaśniać.

Opowieść taka miałyby kilka morałów: że w pisaniu o literaturze nie należy nadużywać obcych wyrazów i że czytanie ma coś wspólnego nie tylko z sercem, ale też z erotyzmem; że w jakimś sensie, zarazem prostym i niejasnym, czytanie i pisanie literatury jest tym samym; że nie da się łatwo oddzielić literatury od nieliteratury, bo zachłanność czytania nie liczy się z takimi odróżnieniami; że „badanie” literatury bywa niezadarnym sposobem wytłumaczenia pierwszych, czasem zapomnianych lektur i że spełnia – choć w innym sposób – te same funkcje, co literatura; że zachodzi jakieś pokrewieństwo w „odgrywaniu” mszy i w inscenizowaniu w umyśle scen z lektury – i że w jednym i drugim przypadku nie chodzi jedynie o zabawę i przyjemność, ale o pragnienie uczestnictwa w czymś większym; i że pragnienie to jest wstydlive i tak łatwe do wykpienia.

Wniosków takich byłoby chyba więcej, ale przerwę tę wyliczankę, tak jak przerwałem opowieść. Okazało się bowiem, że za jej pomocą wcale nie jest łatwiej odpowiedzieć na pytanie, „czym jest literatura w kulturze i w życiu”. Z wielu powodów. Bo nie jest dla mnie jasne, co łączy mnie z owym chłopcem, bohaterem opowieści; bo czytanie nie ma początku, a więc opowieść o nim niepostrzeżenie przekształca się w prywatny mit; bo we współczesnej literaturze, podobnie jak w nauce o literaturze, ucieczka do biografii bywa na ogół asekuracją mającą ukryć zamiar ideologiczny (biografia jako *exemplum* ideologizujące wywód naukowy – przy całej mojej sympatii dla feminizmu uważam to zjawisko za bardzo dwuznaczne); bo nie sądzę, żeby pytanie „co jest dla mnie ważne w literaturze” można było zastąpić pytaniem „co jest ważne w literaturze z punktu widzenia nauki”, a co więcej, uważam że żadnego z tych pytań nie wolno wykluczyć, choć nie sposób ich również pogodzić.

Zdaje się zatem, że w mówieniu o literaturze najlepsze jest mówienie półprywatne. Chroni przed mieliznami konfesji i oddala pokusę scjentystycznej przemądrzałości. Broni przed narcyzmem. Pozwala zachować zdrowy dystans. Nie jest to jeszcze żadna teoria, to prawda. Ale sądzę, że w uprawianiu literaturoznawstwa od dawna nie chodzi o to, żeby być wiernym jakiejś teorii.

2. Potem pomyślałem, że ucieknę w stronę przeciwną – zamiast odpowiadać na zadane pytania, będę się zastanawiał, dlaczego pytania takie zadajemy. Kiedyś pytaliśmy, żeby określić przedmiot naszych badań, ale skoro pytamy bez końca, to raczej nie tyle określamy, ile wyznajemy, że zrobić tego nie umiemy. Godny uwagi jest fakt, że mimo panującego obecnie antyteoretycznego klimatu takie podstawowe pytania wciąż zadajemy. Oznacza to, że potrzeba posiadania całościowej wizji jest równie żywa, jak niegdyś (i jak zawsze, chciałoby się dodać), choć oczywiście pragnienie posiadania w miarę spójnych poglądów w jakiejś sprawie nie oznacza jeszcze, że ma się lub chce się mieć w tej sprawie teorię. W oporze wobec teorii jest

Skrendo Zamiast odpowiedzi

jednak coś zdradliwego. Nietrudno ją odrzucać wyobrażając ją sobie w jakiś fundamentalistyczny sposób, a przecież wcale nie jest jasne, czy można cieszyć się lekturą nie mając teorii lektury. Podobnie nie wiadomo, czy można – jak sądzą pragmatyści – nauczać nie posiadając kategorii nauki. Odrzucenie nauki i teorii to zbyt proste odpowiedzi na trudne pytania. Z pewnością nie można po prostu odkryć, czym jest literatura, wierzę jednak, że można i warto tworzyć lokalne projekty, czyli w taki sposób uogólnić wybrany wycinek historii, żeby to uogólnienie podsuwało sugestie, że istniała jakaś matryca rządząca historycznymi przemianami. Jeśli chodzi o mnie, wierzę ponadto w coś, co Janusz Sławiński, postać dla mnie bardzo ważna, nazwał „dzikim teoriiotwórstwem interpretacji”. Rozumiem owo sformułowanie następująco: znajomość teorii i historii literatury to tylko narzędzia, które pomagają wydobyć i opisać to, w jaki sposób interpretacja wytwarza teorie, czyli swego rodzaju „efekty ogólności”. „Przedmiotem” naszej dyscypliny jest i pozostaje pojedynczy tekst, a umiejętności filologiczne (i hermeneutyczne) nie tracą swej wartości. Nie istnieje wprawdzie żaden wyróżniony poznawczo kontekst, w jakim należałoby umieszczać tekst, ale z faktu, że nie ma różnicy epistemologicznej, nie wynika, że nie ma żadnej różnicy i że w czytaniu literatury wystarczy zdać się na wrażliwość i szukać jedynie przyjemności. Oznacza to, że upada przywilej czytania znawców i scjentystyczna uzurpacja, ale nie upada odróżnienie kontekstu macierzystego od kontekstów niemacierzystych. Literatura zachowuje swą względną autonomię jako rodzaj kontekstu.

Pomyślawszy to wszystko (edytor tekstu zmienia mi na „pomuskawszy” i być może tak właśnie powinien napisać) doszedłem do wniosku, że ten wybieg też jest nieudany. W pytaniu o to, czym jest literatura i jak ją badać zawiera się bowiem jakiś – co tu kryć – nieprzyjemny odcień uzurpacji. Czy takie rzeczy można w ogóle wiedzieć? Wprawdzie mnie samemu wydawało się niekiedy, że wiem, czym literatura nie jest albo być nie powinna, ale nie sądzę, aby z tych moich sprzeciwów dało się wydobyć coś więcej. Czy zresztą jest to konieczne? Pewna – choćby i niekonsekwentna, a nawet narażona na zarzut hipokryzji – skromność poznawcza jest chyba nieodłączną cechą współczesnego „badacza” literatury, czyli kogoś wyposażonego w świadomość historyczną, która nie tylko ujawnia względność odziedziczonej wiedzy, lecz także nakazuje podejrzliwie traktować własne założenia i przeświadczenia. Oczywiście, jak wiemy od Nietzschego, nadmiar świadomości historycznej wiedzy do takiego samego paraliżu, jak jej całkowity brak, ale też – zgódźmy się – w każdym konkretnym momencie historycznym trudno orzec, co mianowicie tworzy taki nadmiar (łatwiej wytłumaczyć brak). Być może zatem wyostrzona świadomość historyczna nie powinna skłaniać nas do tęsknoty za czasami, w których było więcej pewności niż dziś, ale raczej zmuszać do większej obrotności w wynajdywaniu nowych punktów widzenia. Ta sama rzecz różnie opisana, przestaje być przecież tą samą rzeczą, ale doprawdy nie wynika z tego, że kategoria literatury jest zupełnie pusta, nigdy bowiem nie jesteśmy w stanie zakwestionować całości założeń, za pomocą których myślimy, lecz zawsze wątpimy w ich ramach.

Wyznania

Mój kłopot wynika też stąd, że nie umiem pogodzić dwóch przekonań, które wydają mi się równie ważne. Pierwsze mówi, że tworzymy sztukę po końcu sztuki, że jest ona opisem jakiegoś fundamentalnego braku, leczeniem ran zadanych nam przez nowoczesność. W tym sensie Gombrowicz miał rację, że egzystencjalizm jest czymś nieprzedawnionym (ale nie chodziło mu chyba po prostu o nurt zwany egzystencjalizmem). Jest więc literatura czymś niesprowadzalnym do żadnego porządku zewnętrznego, ćwiczeniem się w samotności i rozpatrywaniem porażki (wierzyć, że życie nie jest porażką, można tylko *mala fide*, tłumaczył Kołakowski). Zarazem uważam, że porządek społeczny bez literatury nie daje się pomyśleć, że jest ona niezbędna (a zatem także jej komentowanie i badanie) dla funkcjonowania wspólnoty oraz szerzenia cnót obywatelskich i demokratycznych. Jak „teoretycznie” połączyć jedno i drugie, nie wiem. Nie wiem nawet, czy łączyć trzeba.

3. Nie ma postępu w wiedzy, jest tylko ciągła i wzniosła rekapitulacja – powiedział czcigodny Jorge w *Imieniu róży* Umberta Eco. Zdanie to jest zapewne prawdziwe jako podsumowanie tego, co tu powiedziałem (poza, mam nadzieję, wzniosłością – tej usiłowałem unikać), ale we wszystkich pozostałych kontekstach wydaje się dziś fałszywe. Czcigodny Jorge, moja ulubiona postać z powieści Eco, powtarza starożytną mądrość mówiącą, że nie ma wiedzy o tym, co zmienne i nie ma wiedzy, która nie dawałaby pewności. Mam wrażenie, że dziś jesteśmy w sytuacji, w której odczuwamy postępek, ale wraz z nim wiedzy – czyli pewności – jakby ubywa. Nie wiem zatem, czym jest literatura i jak ją badać. I to właśnie próbowałem – zapewne w sposób nazbyt pospieszny – powiedzieć.

Abstract

Andrzej SKRENDO

Reply Replaced

A reply to the questionnaire on the occasion of the 20th anniversary of Teksty Drugie: my personal views on literature, literary studies and other issues of consequence.

Literature as an art after the end of arts and a description of a fundamental lack, and at the same time, a factor indispensable for a democratic community to function – that is, a reply twice eluded and an unexpected reversal.